№ 13. Warszawa, dnia 19 (31) Marca 1888 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu zlr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu zlr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KILKA SŁÓW

o praktycznem zastosowaniu ekonomii politycznej

DLA DZIECI.

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Brak oszczędności, nieopatrzne marnowanie grosza, życie nad stan, jednem słowem wszystkie te wady, które będąc od wieków naszym udziałem, przyczyniły się niemało do smutnego finansowego położenia, jakie obecnie cięży nad nami, są niejednokrotnie przedmiotem utyskiwań i niewczesnych żalów nad złem, które pożerając przyszłość narodu, niby stuglowa hydra, nie da się nigdy zgnębić i upokorzyć. Jeżeli w dzisiejszych czasach widzimy niejaki zwrot ku zmniejszeniu wydatków, jeżeli ludzie wszelkich sfer mniej są pochopni do bezmyślnego szafowania pieniężnych zasobów, nie czynią oni tego z zasady, ale z potrzeby, konieczności, ubóstwa. Bieda jedynie, nędza niemal, która każdemu dała się we znaki jest powodem, że ograniczyliśmy nasze wydatki; gdyby jednak finansowy stan naszych interesów zakwitł na nowo, powrócilibyśmy niezawodnie do pierwotnej nieoględności.

Gdzież więc należy szukać źródła złego, gdzież leży zaród pomiatania czynnikami utrwalającemi byt rodzin, zapytacie? W charakterze naszym, który jeszcze z lat dawnych, wtedy gdy dostatki tak łatwo bez wysileń trudu i mozołu pracy spływały w nasze dłonie, wyrobił sobie owo lekceważenie jutra, ową niedbałość rachunkową, ów brak poglądu finansowego, pokrywając te wady pozornie przyjacielskiej gościnności, życzliwego wylania serc, szczerej prostoduszności, a przedewszystkiem owem tyle zgubnem dla nas przysłowiem: jakoś to będzie! Charakter nasz tu winien jedynie, na charakter więc działać potrzeba.

Wiadomo każdemu, ile trudnem się staje zadaniem, gdy kto pragnie wpłynąć na przeistoczenie narowów, przywyknień i przekonań dojrzałego człowieka, cóż dopiero mówić o istocie zbiorowej jaką jest naród. Wszelkie rozumowania, filantropijne wywody, matematyczne twierdzenia, stają się zwykle głosami wołających na puszczy. Nic łatwiejszego jak dowieść niepraktyczność postępowania tych, których wydatki przechodzą przychód; na to nie potrzeba wysiłku retoryki, dosyć przytoczyć arytmetyczny rezultat odejmowania; ale to nie może być dostatecznem. Każdy bez wyjątku przyzna finansiście słuszność i prawdę, ale zarazem powie: trudno nie ugościć jak należy sąsiada, nie pokazać się przed światem, skąpić żonie i córkom na ubranie, gdyż ambicya na to nie pozwala.

Wszyscy w podobnym sposobie odzywają się, gdyż nieoględność i lekceważenie własnej przyszłości leży w naszym charakterze.

Mylnie sądzą ci, którzy twierdzą, iż wady i niedostatki indywiduów i narodów, są wypływem natury. Charakter człowieka pojedyńczego, równie jak i zbiorowego, to czysta karta, na której wychowanie wpisuje przyszłe przymioty, lub też złe skłonności, stosownie do danego poprzednio kierunku, wytwarzanie się więc pojęć mas, bywa niezawodnie następstwem wychowania dzieci. Zobaczmy teraz jakim jest ogólnie przyjęty systemat w rozwinięciu poglądów młodocianego pokolenia. Matki przedewszystkiem rządząc się szlachetną zasadą miłości bliźniego, wpływają na rozwinięcie w swych synach i córkach czułości, rozbudzenia politowania nad niedolą upośledzonych od losu nieszczęśliwych, lecz zaszczepiając świętą tę zasadę w skłonne do przejmowania zacnych dążeń dusze dziatek, nie baczą nigdy na ujemną stronę, jaką nieoparte na rachunkowości miłosierdzie wywrzeć z czasem zdoła. Dziecko nie będąc w stanie zapracować na grosz, nie może wiedzieć z jakim on trudem przychodzi; czerpie pełnemi garściami zasoby szczodrobliwości macierzyńskiej, wydaje je łatwo i bez zastanowienia na wspieranie nędzy, a słysząc zewsząd pochwały swego dobrego, poczciwego serduszka, utwierdza się w przekonaniu, iż szafunek nieopatrzny mienia, jeżeli tylko w dobrym celu bywa dokonanym, jest zasługą.

Później, gdy dorośnie, z cnotą miłosierdzia łączy się ponętny pryzmat gościnności, potrzeba poszanowania swego stanowiska, bezprzestannego zwracania uwagi na położenie towarzyskie, jednem słowem wszystko, prócz oględnego baczenia na jutro. Z obawy podbudzenia samolubnych dążeń, idealizujemy dzieci nasze i dajemy im wszelkie przymioty serca i duszy, pomijając praktyczność życia. W programie wykształcenia, matematyka zwykle ostatnie zajmuje miejsce a nawet i w wykładzie tej nauki staroświecka formułka odejmowania, każąca mówić niedorostkom przed szkolną tablicą: trzy od dwóch nie mogę, a zatem pożyczam od następnej liczby i t. d., utrwala się w jego pamięci i wpaja zasady szukania w pożyczce ratunku, przeciwko każdemu finansowemu niepowodzeniu.

(Dokończenie nastąpi.)

Z Alfreda de Musset.

PAMIĘTAJ!

Pamiętaj o mnie, gdy zorza wylękniona,
Słońcu swój pałac otwiera już zaklęty;
Pamiętaj o mnie, kiedy srebrna zasłona,
Pokrywa z nocą niebieskie firmamenty.

Rozkoszne jakieś drżenia, gdy twoją pierś podniosą,
Gdy spłyną sny urocze razem z wieczorną rosą,
Posłuchaj jak w oddali
Głos tęskny ci się żali:
Pamiętaj!

Pamiętaj o mnie, gdy losy niezbłagane
Z tobą na zawsze mimo łez mnie rozdzielą,
Gdy długie lata odnowią serca ranę,
A smutki cierniem drogę wzdłuż mi wyścielą.

Wspomnij o mej miłości, o chwili rozłączenia,
Tych co kochają silnie, czas nigdy nie odmienia.
To serce w każdem tętnie,
Powtórzy ci natrętnie:
Pamiętaj!

Pamiętaj o mnie, gdy już pod ziemią spocznie
Serce cierpieniem złamane i tęsknotą;
Pamiętaj o mnie, gdy kwiaty niewidocznie
Wzrosną na grobie i wieńcem go oplotą.

Ah! już cię nie zobaczę! lecz w nieśmiertelnym wirze,
Z krańców wieczności nieraz do ciebie się przybliżę:
Gdy nocne spadną cienie,
Usłyszysz to westchnienie:
Pamiętaj!

Emilia.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Zwierzenia poufne, przerywa pojawienie się w progu służącego z serwetą w ręku. Podana herbata, wszyscy ruszają się z miejsc ochoczo obozy mieszają, różnobarwna fala gości płynie przez szeroko otwarte podwoje, do jasno oświetlonej jadalni.

Powiatowa powaga wiodąc za sobą skromną swą dziewiczą czwórkę, lawiruje ciężko, jak ładowna korweta, pośród żywego tego wiru, przystając przy tej lub owej grupie, zatrzymując tego lub owego osobnika, szepcąc coś wszystkim na ucho, uśmiechając się litośnie. Wszystko to odbywa się zniechcenia, mimochodem, niemniej przeto szybko i skutecznie. Zanim zdołano pomieścić się przy stole, połowa towarzystwa ma fizyognomie tajemnicze, krzyżują się spojrzenia wymowne, uśmiechy nieme, w powietrzu po nad stosami ubierających stół brzoskwiń i ananasów, wraz z aromatem herbaty, buchającym z srebrnych samowarów, unosi się niewidzialny, fantazyjny dziwoląg, wyrastający w imaginacyi zebranych do bajecznie potwornych rozmiarów. Im mniej ktoś dosłyszał, im drobniejsze słówko doszło jego ucha, tem domyśla się więcej.

Matki za przykładem Marszałkowej, trzymają córki tuż przy sobie, spoglądając na nie z niepokojem, jak gdyby w gościnnym tym domu, rozwinięto nagle zadżumioną flagę.

Gospodarze widzą, że dzieje się coś niezwykłego, nie mogą przecież odgadnąć, co mianowicie takiego?

Smukły cień czarny, siedzi przy stole chłodny, nieporuszony, obrywający z wykwintnym wdziękiem jagody winogrona, rzucił iskrę pod spokojną strzechę znienawidzonych ludzi i cierpliwie czeka wybuchu.

Po podwieczorku istotnie, pożar znajduje się w całym rozwoju.

Zachowując wszelkie pozory chłodnej grzeczności wobec domowników, goście kupią się w żywo rozmawiające gronka, rozchodzące się cicho za zbliżeniem osób interesowanych. W wyższych sferach rozbierają delikatnie kwestyę zgubnego wpływu ducha postępu, przenikającego niestety, w najściślej arystokratyczne rody. W średnich głośniej o wiele, rozwodzą się nad lekceważeniem obyczai, przez pewną swej świetności magnateryę.

W najniższych, około pieca po za fortepianem, powtarzają już wszystkie szczegóły sensacyjnej awanturki. Najmłodsza córka domu, zakochana w własnym stajennym... tak sobie... niczego chłopcu, który zrobił coś koniowi, aby się rozbiegał w lesie, gdzie on, stangret naturalnie, czekał już, by się zjawić w roli zbawcy bohatera. Odgadując schadzkę młody hrabia, bardzo taktowny, przyjemny chłopiec, powrócił sam, oburzony do domu, niechcąc się mieszać w drażliwą sprawę. Ogólne wzburzenie umysłów. Kilka dam poważniejszych, objawia głośno zamiar wyjazdu natychmiastowego. Młody literat, za drzwiami ustronnego gabinetu, rzuca ołówkiem na papier pierwsze zarysy utworu, pod tytułem: „Gwiazda spadająca". Nie wie sam jeszcze, czy będzie to poemat, czy dramat? lecz czuje, iż musi to być coś wielkiego. Suchotniczy malarz w cieniu palm oranżeryi, kreśli palcem na zaszłej parą szybie, szkic nowego pomysłu do rodzącej się w rozgorączkowanej jego głowie kompozyci, która powinna w najkrótszym czasie rzucić mu pod stopy szczęście i laury. Olbrzymie płótno przedstawiać będzie „Odepchniętą od ludzi" czyli pannę Annę, w opadającej z piersi draperyi, z rozpuszczonym włosem, załamanemi dłońmi i wzniesionem w niebo spojrzeniem.

Biedna panna Anna! ani się domyśla, iż tworzą z niej kreacyę tragiczną, której tak nienawidzi.

W tej chwili właśnie na horyzoncie salonu ukazuje się powracająca nasza bohaterka.

Wchodzi przebrana, uczesana gładziudko, świeża jak róża, wesoła i wyznać musimy z przykrością, nie ma w sobie nic a nic dramatycznego. Uśmiechając się po drodze do bliższych znajomych, idzie prosto w głąb salonu, gdzie siedzą starsze damy.

Z tronowej sofy, wyciąga do niej ręce, pierwszy cień czarny, ujmując dziewczynę w sucho kościsty uścisk.

— Jesteś nareszcie! Cała i zdrowa? dzięki Bogu! Endymion zapewniał, iż nic ci się nie stało złego, lecz byłam mimo to, trochę niespokojną.

Gorący pocałunek zakończa słodką przemowę. Jest to akt ciężki polityki życiowej, na którą nie umie się zdobyć powiatowa powaga. W chwili, gdy panienka zwraca się do niej z powitaniem, nie może ona zapanować nad dławiącem ją oburzeniem, ujmując silnie ręce Aneczki, ściska je jak w kleszczach, zatrzymując obwinioną zdala od siebie, na długość chłodem zesztywniałego ramienia. Patrzy przytem w oczy jej surowo, bardzo surowo, tak poważnie, że majestat ten nieprzejednanie twardych zasad powinien przygnieść lekkomyślną, zgiąć, złamać, zetrzeć w garść prochu.

Wszystkie spojrzenia zwracają się w ich stronę, w salonie zalega cisza tak głęboka, że słychać za oknem szmer lekki parku, wstrząsanego tajemniczemi dreszczami nocy.

Cały efekt tej sceny, przechodzi niestety dla panny Anny bez wrażenia! Dziewczynka z całą prostotą młodzieńczej swej natury, przyjmuje łamiący jej palce uścisk za szczere powitanie i uwolniwszy rączęta z gniotących je dłoni, zwraca się z powitaniem do innych gości.

Nie potrzebujemy mówić, iż ze stron wszystkich spotyka się z mrożącym chłodem. Prócz kilku rozumniejszych, pobłażliwszych jak zwykle mężczyzn, wszyscy trzymają się sztywno, wymijająco i gdyby dziewczynka posiadała choć trochę więcej doświadczenia, poznałaby odrazu, iż między nią i tymi ludźmi, coś się nagle zerwało. Ale jest ona zbyt młodą, zbyt żywą, by odczuć miała tak prędko wionące ku niej lodowate tchnienie; ma w piersi taką siłę własnego, serdecznego ognia, że ciepłoby jej było nawet u bieguna. Uśmiechnięta radośnie, zadowolona, iż wydobyła się wreszcie z ciemnych, wilgotnych lasów, przechodzi wesoło między zebranymi, ani się domyślając, że dokoła otaczają ją lody.

Zupełnemu zmrożeniu podlega za to panna Antonina. Widząc powitanie siostry przez Marszałkową, zasłyszawszy przedtem coś z krążących spojrzeń i szeptów, skombinowawszy to wszystko z zło-

śliwemi słowy Endymiona, poczyna się domyślać czegoś bardzo brzydkiego i ohydne kształty bajecznego potwora, zarysowują się przed zdumionemi jej oczami, coraz wyraźniej. Głęboko zamyślona, z gorzkim uśmiechem i zmarszczonemi silnie brwiami, spogląda na śliczną, czystą prostotą promieniejącą postać dziewczynki, za której zbliżeniem, odwracają się głowy kobiet i spuszczają zakłopotane spojrzenia i najpierw ból dotkliwy, potem gniew szalony, wybuchają wulkanem w jej sercu.

Nie może znieść w tej chwili widoku ludzkich twarzy, potrzebuje zrzucić koniecznie z duszy gniotący ją ciężar i szukając instynktownie ojca, wybiega z salonu.

Hrabia powraca właśnie z ganku, gdzie rozmawiał co tylko z Janem. Wypytawszy chłopaka o szczegóły wypadku, wchodzi z sieni do swego pokoju, gdy spotyka starszą swą córkę, która drżąca, wzburzona, z płomienistemi plamami na twarzy, rzuca mu się nagle na szyję.

— Ojcze, dlaczego uczyłeś nas kochać ludzi?!— wybucha namiętnie. — Są źli! nędzni! nikczemni!

Hrabia pochwycił już także koniec nitki intrygi, wysnuwanej kunsztownie, złośliwą ręką czarnego cienia. Pomówiwszy chwilkę z Aneczką, wytłomaczył już sobie wiele, niepojętych niedawno rzeczy, z których teraz zdaje sobie zupełnie jasno sprawę. Uniesienie córki, wywołuje tylko smutny uśmiech na jego twarzy.

— Bywają istotnie w życiu chwile, że kochać ich trudno... bardzo trudno... Lecz pobłażliwymi musimy być zawsze, drogie dziecko, i to już przez szacunek dla samych siebie, gdyż głupcy tylko nie uprawiają tej pięknej cnoty, a logika uczy nas spodziewać się po maluczkich tylko rzeczy małych!

W sercu panny Antoniny nie ma w tej chwili nawet cienia czegoś, podobnego pięknej cnocie. W oczach jej błyszczą łzy wielkie, które strząsa z rzęs czarnych, niecierpliwym ruchem białych paluszków.

— Oh! — woła gorąco — nie będziesz miał ze mnie nigdy dobrego filozofa, tateczku, gdyż nienawidzę ich z głębi duszy! Nie mogę oddychać tam w salonie! nie mogę patrzeć na te twarze! Dlaczegóż nie idą już sobie precz z naszego domu! dlaczego nie opuszczą natychmiast ścian tych gościnnych, które obrzucają z rozkoszą błotem! A przecie, tak łatwoby się można pozbyć tego tłumu — dodaje szydersko, patrząc w perspektywę, w amfiladę otwartych podwoi — dość byłoby oświadczyć, że nie podadzą dziś kolacyi.

Na ustach hrabiego krąży uśmiech łagodny, nie pozbawiony przecież cienia goryczy.

— Nie użyjemy jednak tego tak prostego środka. Nakarmimy tych ludzi jeszcze na pożegnanie i... możemy potem puścić ich w pokoju, winszując sobie tryumfu, gdyż w salonach naszych, raz nareszcie, zapanowała zupełna solidarność.

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JUBILEUSZ
JÓZEFA GRAJNERTA.

W zeszłym tygodniu w sam dzień św. Józefa, grono literatów i przyjaciół solenizanta Józefa Grajnerta, pragnąc uczcić trzydziestoletnią jego pracę w zawodzie literackim, złożyło mu serdeczne życzenia wraz z grupą fotograficzną, na czele której pomiędzy innymi, znajdują się podobizny księdza Arcybiskupa Popiela i księdza Arcybiskupa Gintowta.

Szanowny Solenizant urodzony w roku 1831 we wsi Kowale w Wieluńskiem, zaraz po ukończeniu edukacyi rozpoczął służbę publiczną w Towarzystwie ubezpieczeń a następnie w Towarzystwie kredytowem ziemskiem.

Obok tego niezaniedbując dalszego kształcenia się, w chwilach wolnych od zajęć biurowych poświęcał się pracy literackiej, pisząc artykuły w różnych kwestyach społecznych, zgrabne wierszyki i opowiadania prozą chętnie w ówczasowych pismach drukowane.

Pierwszą większą pracą Szanownego Jubilata wydaną oddzielnie, była przetłomaczona wierszem Saga Skandynawska Frytyów, przez Izajasza Tegnera napisana.

Zwróciwszy powszechną uwagę, przychylna ocena krytyki, zachęciła młodego Autora do większej działalności literackiej a szczególniej w kierunku ludu wiejskiego, o którym zaczęto sobie przypominać, że żyje i książki bardzo pragnie.

Jak więc tylko możność pozwoliła, kiedy zaczęły powstawać pisma peryodyczne czysto spekulacyjne, Szanowny Jubilat ogłosił wydawnictwo Zorzy, pisma poświęconego ludowi miejskiemu i wiejskiemu, i nieważając na wielkie trudności w jego redagowaniu i upowszechnieniu, na trudność znalezienia dobrych współpracowników, na niechęć wreszcie do ludu, jaka wówczas była i jest jeszcze dotąd dość upowszechniona, pchał taczkę swej pracy z wielkim mozołem aż dotąd i nie dał Zorzy upaść choć korzyści żadnych nie dawała.

Tę to też głównie pracę obywatelską mając na pamięci, grono literatów, przyjaciół samego Solenizanta i ludu, uczciło go uroczystym obchodem trzydziestoletniego jubileuszu.

Przy składaniu życzeń w imieniu duchowieństwa przemówił ksiądz kanonik Matuszewski, a następnie w imieniu niejako całego kraju, podniósł głos pan Ludwik Niemojowski, niezmordowany współpracownik Przyjaciela dzieci i młodzieży.

Mowę swą dość obszerną, rozpoczął od zobrazowania stanu moralnego naszych włościan. Przedstawił wszystkie dodatnie strony ludu wiejskiego na podstawie religijnej oparte, jego zdrowy, prosty rozum nieprzystępny dla wybujałej fantazyi, jego wreszcie wdzięczność wszędzie tam, gdzie spotyka się z dowodami szczerej życzliwości wprost z serca płynącej. Potem wyłuszczył powody jakie tamują rozwój jego umysłowy, wpływ na niego duchowieństwa i z tego tytułu podniósłszy pracę i działalność Jubilata, wyszczególnił jego dla całego kraju zasługi a w zakończeniu objawił nadzieję, że trudy przez niego i przez podobnych jemu pracowników na polu oświaty ludowej poniesione, wydadzą z czasem obfity i bogaty plon dla przyszłych pokoleń.

Dowód ten poczciwej pamięci Szanowny Jubilat przyjął z rozrzewnieniem i dziękując za wyświadczoną cześć, nie przyznał sobie zasługi, ale życzliwości przyjaciół pragnących obdarzyć go chwilą prawdziwego szczęścia.

Zbiór poezyi Zacnego Pracownika w całem wydaniu wyszedł w roku 1873.

J. K. G.

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Mówiliśmy w zeszłej korespondencyi, że wodewille zmarłego Labicha, są może ostatnim wyrazem tej szczerej wesołości, która stanowiła od dawna charakterystyczną cechę Francuzów. Pokazało się jednak, że mimo grasującej choroby pessymizmu, Paryżanie umieją się jeszcze śmiać, a młodsi komedyopisarze zachowali tradycyjną zdolność rozśmieszania. Dowodem na to sztuka panów Bisson i Mars pod tytułem: Niespodzianki rozwodowe.

Jakkolwiek niejedno małżeństwo tutejsze, korzystając z nowego prawa, rozwiązało ciężący im związek, ogół jednak francuzkiego społeczeństwa, nie sprzyja bynajmniej rozwodom. Autorowie dramatyczni, którzy nie lubią płynąć przeciw prądom, lecz bacznie śledzą z jakiej strony wiatr wieje, spostrzegli to odrazu. Wśród wielu fars i komedyi, osnutych od lat dwóch na rozwodzie, żadna nie przedstawia go z dodatniej strony, przeciwnie wszystkie w najśmieszniejszy sposób wykazują jego następstwa.

Nigdzie przecież rozwód nie został wyszydzony z taką werwą i takim dowcipem, jak w trzyaktowej komedyi świeżo odegranej w teatrze Wodewilu. Przytaczamy ją w treści.

Henryk Duval niedawno poślubił ładną Dyanę Bonivard, córkę głośnej tancerki, obsypywanej niegdyś oklaskami, w Marsylii, Lyonie i Nicei. Młody małżonek ma 25,000 franków dochodu, z upodobaniem zajmuje się muzyką, komponuje aryetki i dueta. Arcydziełem jego jest piosnka na dzień imienin żony.

Słodycz miodowych miesięcy, zatruła matka Dyany, nieznośna *belmera*, która rozgospodarowała się w domu. Rozmyślna fantastyczka wyrzuca pieniądze pełną ręką, popełnia codzień nowe niedorzeczności, to pozuje przed fotografem jak skrzydlata Sylfida, to znów ilekroć posłyszy muzykę walca, puszcza się w wirowe obroty. Wkrótce znienawidziła zięcia, buntuje córkę przeciw niemu. Dzięki jej dom stał się prawdziwem piekłem.

Gdy rzeczy tak stoją, powraca z dalekiej podróży młody Champeaux, przyjaciel Duvala, kolega jego szkolny. Duval otwiera mu gościnnie swój dom wiejski w Anieres, rad że ma przed kim wyżalić się na nieznośną *belmerę*.

Krótka uciecha, dnia jednego Champeaux oświadcza stanowczo przyjacielowi, że musi go pożegnać.

— A to czemu? — pyta zdziwiony Duval.

Champeaux wacha się z odpowiedzią, w końcu wyznaje prawdę:

— Muszę uciekać, bo zakochałem się w żonie twojej!

— Ha ten ladaco! — zawoła Duval — zawsze mi włazi w drogę. Ile razy jaka panienka wpadła mi w oko, natychmiast mi ją zdmuchnął.

— Cóż ja winien, że mamy jedne gusta? — odpowiada przyjaciel.

— Czas się już ustatkować — rzecze Duval. — Muszę cię koniecznie ożenić.

I opowiada jak tydzień temu na poranku muzycznym, siedział obok niejakiego pana Bourganeuf, była z nim śliczna córeczka. Mówiono mu, że to bogaty mieszczanin paryzki, wycofany z handlowych interesów, zacofany meloman.

W tejże chwili, służący otwiera drzwi, wprowadza do salonu jakiegoś pana z młodziuchną panienką, oznajmia, że ten pan, wyczytawszy napis: dom na sprzedaż, pragnie pomówić z właścicielem i obejrzyć pokoje.

— Papo — rzecze półgłosem córka — ty przecie nie kupisz tego domu?

— Ani myślę, ale deszcz pada, miło choć na chwilę ukryć głowę pod dachem.

Duval uprzedzony przez służącego, przybliża się do gościa.

— Ha, to pan! — zawoła — mój sąsiad na poranku muzycznym.

Podają sobie ręce, siadają, zaczyna się rozmowa. Zajęty myślą swoją Duval, przystępuje od razu do rzeczy. Pyta czy pan Bourganeuf nie chciałby wydać za mąż córki. Gość nie wie, że Duval ma żonę, bierze go za wdowca, pytanie to przypadło mu do smaku. Ale dowiedziawszy się, że tu idzie o kogoś innego, zbywa rzecz zimną odpowiedzią, żegna gospodarza i odchodzi. Deszcz właśnie przestał padać.

Akt pierwszy kończy się gwałtowną sceną. Pani Bonivard wpada jak furya, krzyczy na zięcia, wytrząsa nad nim pięścią. Biedny Duval doprowadzony do szału podnosi rękę, wtem nadbiega Dyana, odbiera przypadkiem policzek przeznaczony dla matki. Krzyk, płacz, wrzawa, pani Bonivard zwraca się do obecnych.

— Ważny punkt do rozwodu! — woła — biorę wszystkich na świadków.

I zasłona zapada.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DON GESUALDO.

NOWELLA

OUIDY.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Dni następujące po tym wypadku były dla niego pełne okropności; policzki mu zapadły, oczy błędnego nabrały wyrazu, zdawało się, iż postarzał o lat kilka.

Straszliwe formalności prawa, postępowały zwykłym porządkiem, nikogo nie oszczędzając w wiosce. Każdy kto tylko co słyszał lub widział był badany i posądzany.

Don Gesualda wzywali również do protokułu, napominając go ostro za to, że nie zostawił ciała na miejscu popełnionej zbrodni, aż do przybycia policyi.

Gesualdo powiedział szczerze wszystko co wiedział, ale kiedy go zapytano jaki stosunek istniał między zamordowanym a jego żoną, zawahał się, zmieszał, przeczył sam sobie i podsunął sędziemu śledczemu myśl, że wie więcej, niźli chce powiedzieć.

Gesualdo z zapałem usiłował bronić niewinności Generosy i przelać to przekonanie w innych, ale nie udało mu się, a gorliwość jego obrony spotęgowała jeszcze zarzuty jakie jej czyniono.

Wynikiem pierwszych badań było, że żona Tassa Tassila, zamordowanego w dzień św. Piotra i Pawła, zatrzymaną została w więzieniu. Okoliczności bowiem rzucały na nią podejrzenie, że stała się przyczyną, a kto wie czy nie wykonawczynią nawet zbrodni dokonanej na mężu.

Wszyscy których wezwano na świadectwo z wioski, zeznali na jej niekorzyść, z wyjątkiem jednego tylko Falca Malegari, jej kawalera, którego słowa tem samem nie miały żadnej wartości i don Gesualda, który jako ksiądz powinien był na większą zasługiwać ufność. Lecz sędzia śledczy nie miał sympatyi do księży i dlatego może okazał się tak niedowierzającym.

Zresztą przywiązanie Gesualda do Generosy i widoczna obawa z jaką stanął w jej obronie, dowodziły silnego postanowienia z jego strony i osłabiły wartość jego zeznania.

— Wiecie dobrze, żem niewinna! — zawołała w chwili gdy ją aresztowano.

A Gesualdo odpowiedział jej ze łzami w oczach:

— Wierzę w to i oddałbym życie, aby tego dowieść! Przez chwilę zwątpiłem o tobie, przebacz mi, było to tylko oka mgnienie. Jestem pewien, że żaden występek nie cięży na twojem sumieniu, to prawda jak słońce na niebie...

Lecz nikt nie podzielał tego przekonania, wszyscy pamiętali jaką goryczą zatruła mężowi ostatnie chwile życia.

Generosa zatem pozostała w więzieniu. Sama jej piękność była również jednym więcej potępiającym ją dowodem.

Oskarżającym wydawało się to niemal naturalną rzeczą, że tak młoda i powabna kobieta, pragnęła pozbyć się starego, brzydkiego, zgryźliwego i wymagającego męża!

Napróżno Falco drżąc z rozpaczy i oburzenia, przysięgał się, że stosunek ich był najniewinniejszy w świecie. Nikt mu nie uwierzył.

— Powinieneś pan tak mówić — rzekł sędzia z miną dobroduszną.

— Ależ na Boga, ja mówię szczerę prawdę!

— To zwykła prawda, skoro ukochany jest człowiekiem honorowym — zaczął znowu sędzia z niedowierzającym uśmiechem.

Tak więc nie wysłuchano jedynych jej obrońców.

Biedna! jakżeż srodze została ukaraną za to, że była piękniejszą i bogatszą od innych. Przewieziono ją do Vendramino gdzie w więzieniu miała oczekiwać chwili, w której sąd wyda wyrok uniewinniający lub potępiający ją!

Mieszkańcy Marca byli zadowolnieni, nie rozumieli tego tylko, że prawo wymaga tylu ceremonii dla dowiedzenia faktu, który rzucał się w oczy każdemu jak ta chorągiewka na dzwonnicy kościoła.

— Któżby go mógł zabić jeśli nie ona lub jej kochanek? — pytali się nawzajem i nikt temu nie zaprzeczał.

Tak więc Generosa siedziała w więzieniu i w Marca nie widziano już pięknej główki zdobnej w czarne warkocze przetykane srebrnemi špilkami, ukazującej się w oknie młyna, ani też barwistych sukien z któremi igrał wiatr jesienny, gdy kobieta szła na wzgórze posiedzieć między jodłami

Zresztą we młynie nic się nie zmieniło, robota szła swoim porządkiem gdyż mieszkał tu brat Tassila, który jeszcze za jego życia dzielił z nim pracę i dochody.

Historya krwawego wypadku zajmowała ciągle umysły wszystkich, aż do winobrania, ba nawet do oliwek.

Skoro jednak nastały zimne dni i długie noce, ludzie zapomnieli o młynarzu i nieszczęśliwej jego żonie. Wszyscy byli tego przekonania, że ta ostatnia zawiniła i nikt dobrego słowa o niej nie powiedział, nikt nie ulitował się nad jej młodością więdnącą w więziennej celi, chociaż byli tacy co usprawiedliwiali jej postępek.

Rodzina jej była zbyt biedną, aby odbywać podróż do Vendramino i ratować ją w jakibądź sposób, a zresztą dowiedzieli się oni dopiero przypadkiem po upływie jakiegoś czasu o nieszczęściu Generosy. Wiedzieli, że nic nie zrobią dla niej i nawet nie starali się o to co uważali za krok bezużyteczny.

Zresztą rodzina nie bardzo kochała Generosę, dlatego że za mało przysyłała im pieniędzy, niechże więc teraz radzi sobie sama. Myślała zawsze o strojach, niechże więc teraz ocalą ją piękne suknie.

Gdy uboga dziewczyna wychodzi zamąż, prawie zawsze niezadowolona chciwość jej rodziny zmienia się w niechęć i zawiść ku niej. Cóż to ona lepszego od nas, mawiali, żeby zjadała potrawki z koźlęcia lub pieczone zające, gdy my mamy zaledwie kawałek solonej ryby lub ząbek czosnku do chleba?

Pozwolono wikaryuszowi z San Bartolo odwiedzić kilka razy Generosę w więzieniu lecz zawsze w obecności strażnika. Biedny Gesualdo płakał tylko nad nią zapewniając, iż wierzy w jej niewinność, przeraził się jednak zmianą jaką dostrzegł w kobiecie. Wychudła i zmizerniała okropnie, cóż jej więc przyjdzie z tego choć uznają jej niewinność, gdy straci piękność i zestarzeje się przed czasem? Jej ukochany nie spojrzy nawet na nią.

Bezwątpienia Falco szalenie był w niej rozkochany, lecz Gesualdo przeczuwał (przeczucie bowiem w usposobieniach idealnych zastępuje często znajomość ludzi), że miłość jego nie była z rodzaju tych, które potrafią oprzeć się przeszkodom i dbają więcej o duszę niż powierzchowność.

Może być, że i Generosa czuła to samo i ta myśl okrutna dręczyła ją bardziej niż kraty więzienne.

III.

Minęła zima; drzewa migdałowe okryły się kwiatem, fiołki poprzedzały rozwinięcie zawilców, około młyna zazieleniły się wierzby.

Po polu rozlegały się pieśni, odgłosy trąbki lub

wystrzały z fuzyi, to ludzie obchodzili tak wesoło karnawał.

W Marca jednak nie było tak gwarno, czasy nastały ciężkie i ludziom odpadła ochota do zabawy, z serc ich zniknęła wesołość tak jak nikną na ziemi włoskiej pyszne, zawsze zielone dębowe lasy i wspaniałe, starodawne ogrody.

Nastał post i ozwał się melancholijny odgłos kościelnych dzwonów. Wikaryusz z San Bartolo modlił się, pościł i umartwiał ciało. Ufał, że jeśli nie na ziemi to w niebie wybłaga zmiłowanie nad cierpieniem biednej Generosy. Niezmordowanie męczył Boga swojemi prośbami.

Dzień i noc suszył sobie głowę nad wykryciem jakiej wskazówki, któraby naprowadziła na ślad prawdziwego mordercy. Wierzył niezmiennie w niewinność kobiety i choćby nawet wszyscy święci świadczyli przeciwko niej, on wołałby, że nie jest występną.

Okropne podejrzenia, które rodziły się nieraz w umyśle jej kochanka, gdy błądząc nocą nad brzegiem rzeki, wpatrywał się w zamknięte, zda się na wieki, okna Generosy, podejrzenia te nie wstrząsały nigdy duszą don Gesualda.

Być może, że prawda nigdy nie wyłoni się z otaczającej ją pomroki, jego mało to jednak obchodzi w winę jej nigdy nie uwierzy! Znał ją przecież dzieckiem, gdy bosemi nóżkami biegała po nadbrzeżnym piasku w Bocca d'Arno.

Przyjaźń jaką czuł dla żony Tassila była bezwątpienia najczystszem, najszlachetniejszem uczuciem a jednak nieraz zdawało mu się, że zbyt żywe nią zajęcie, wielka przyjemność jakiej doznawał w jej rozmowie, miała w sobie coś nagannego.

On, który powinien był przed sobą widzieć jedynie duszę potrzebującą ratunku, nieraz z upodobaniem i tkliwością przypatrywał się jej urodzie. To było dostateczne aby poczuwał się do grzechu.

Współczucie jakie budziły w nim cierpienia Generosy, było tylko może objawem ziemskiego przywiązania, był prawie pewien tego i dręczony srogiemi wyrzutami sumienia, rzucał się na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego Zbawiciela.

Czuł przytem, że więcej zaszkodził niż pomógł Generosie, swojem zeznaniem poplątanem i niejasnem, a nawet zapałem z jakim dowodził o rzeczy, którą nie mógł poprzeć dowodami.

Zaszkodziła jej równie litość, która popchnęła go do przeniesienia zwłok młynarza na własnych barkach do kościoła i zamknięcie drzwi przed rozciekawionym tłumem, dla którego ta straszna tragedya była rozrywką.

On to bardziej niż kto inny popchnął ją w otchłań rozpaczy i nędzy, zkąd żadna dłoń ludzka wydobyć ją teraz nie mogła...

Choćby nawet uniewinniono ją z braku dowodów, byłaby shańbioną na zawsze. Falco, który kochał ją z całym zapałem i namiętnością młodzieńczą, wypowiedział jednak głośno, że wstydziłby się pokazać z nią w dzień, dopóki tylko ta plama ciężyłaby na niej.

Sam Gesualdo wyrzucał sobie, że zbytnie zajęcie się losem Generosy, czyni go obojętniejszym na cierpienia innych owieczek.

Candida widziała jego trwogę i niepokój, który go czynił raczej podobniejszym do widma niż do człowieka.

Wprawdzie zachowywanie postu jest najpierwszym obowiązkiem księdza, lecz Gesualdo nie jadał teraz nawet potraw dozwolonych przez Kościół.

— Nie można przecież żyć chlebem i wodą — mówiła Candida — najpobożniejszy człowiek musi się posilić.

Gesualdo nie zaprzeczał jej, lecz trybu życia nie zmieniał a żył prawdziwie jak jaki pustelnik z Tebaidy a nie wikaryusz.

Zdawało się, że w nim mieszka duch św. Antoniego lub św. Franciszka, a co najmniej, że zapóźno na świat się urodził. Nawet w głębi małej, zapomnianej wioseczki świat wydawał mu się zbyt złym i przewrotnym.

Mieszkańcy wioski uważali wielką zaszłą w nim zmianę. Był zawsze blady, ale teraz pożółkł jak kość słoniowa, sposępniał i nie przemawiał wesoło do dzieci, a uprzejmie do starców.

Apatyczna obojętność z jaką spełniał obowiązki kościelne, dziwną stanowiła sprzeczność z pełnemi boleści i zapału słowami, które poprzednio płynęły potokiem z jego duszy, gdy miewał te dziwnie mistyczne kazania, wzbudzające nieokreśloną trwogę w sercu parafian.

— Możnaby mniemać, że mu na sumieniu cięży jakiś wielki grzech—powiedziała raz któraś z wieśniaczek do Candidy.

— Ależ zkąd znowu, on jest niewinny jak jagniątko! — odpowiedziała stara sługa, przędząc szybko wrzeciono — a cichy i spokojny jak niemowlę i przebacz mi Boże, zbyt zajęty sprawami niebieskiemi.

Jednak w głębi ducha i ją dziwiła ta niepojęta zmiana. Przypisywała ją niespokojności o los Generosy lecz takie zainteresowanie ze strony księdza było także nienaturalne.

Taka roztrzepanica i impertynentka, tak bowiem zawsze nazywała żonę młynarza, nie zasługiwała na to, aby zajmował się nią tak świętobliwy człowiek.

— Ona to bezwątpienia zgładziła męża ze świata — myślała Candida — ale dlaczego ksiądz martwi się tem tak srodze?

I z prawdziwie macierzyńską śmiałością odważyła się wypowiedzieć swoje zdanie głośno, strofując Gesualda za zbytnie żałowanie grzesznicy.

— Wszyscy mieszkańcy wioski twierdzą, żeście za bardzo wzięli do serca tę obrzydłą sprawę, zdaje im się nawet, że przez to zaniedbujecie wasze obowiązki—rzekła pewnego dnia, podając mu kapuśniak na oliwie. — Zbrodnie były, są i będą na świecie, lecz czy to warto się trapić tem, czego nie można zmienić?

Gesualdo nie odrzekł ani słowa, lecz usta jego drżały lekko.

— Nie moja to rzecz strofować waszą wielebność — dodała z niezadowoleniem — ale mówią także, że kłopotać się tak o zbrodniarkę, jest to przynosić ujmę uczciwym ludziom...

— Jak śmiesz mówić, że ona popełniła zbrodnię? Kto jej tego dowiódł? — odparł z gniewem, uderzając pięścią w stół.

Candida nie widziała go nigdy w takiem uniesieniu, to też spojrzała na niego podejrzliwie i podając mu ocet, rzekła do niego z utajoną złością:

— Wszyscy są tego pewni, z wyjątkiem jej kawalera, tam w willi, a waszej wielebności tutaj.

— Bardzo jesteś pohopną do wydania złego o ludziach sądu — odpowiedział Gesualdo i nie tknąwszy nawet jadła, podniósł się i wyszedł z domu.

— Sam nie wie co robi przez miłość dla tej wietrznicy — pomyślała Candida i poczekawszy chwilę, usiadła i zaczęła jeść. Czyż dla jakiejś tam zbrodni miała nie spożyć smacznej potrawy?

Po kolacyi wzięła kądziel i wyszedłszy na dziedziniec usiadła na nizkim murze, oddzielającym drogę od cmentarza przy kościele.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

25 Marca 1888 roku.

Pomimo przedłużonej nad miarę zimy, wielkie magazyny paryzkie, rozpoczęły już wystawy wiosennych a w części i letnich towarów. Magazyn Luwru przyciąga nieprzeliczone tłumy, z powodu wielkich sal i galeryi, urządzonych na piętrze, w miejscu, które zajmował ogromny hotel dziś na inną ulicę przeniesiony.

Wspaniała galerya oświetlona z góry, gdzie niedawno paręset osób zasiadało wygodnie przy długim stole, obejmuje teraz trzy szeregi szaf w kształcie domków, napełnionych tysiącami płaszczyków, mantyl i gotowych kostyumów. Zacznijmy nasz przegląd od tej strony.

Płaszczyki do wyjścia na ulicę, lub do podróży, widzimy tu po wielkiej części z tkaniny wełnianej, na tle brązowym, oliwkowym, tabaczkowym, granatowym w paski tegoż koloru, a przynajmniej tegoż odcieniu. Płaszczyki te długie prawie do ziemi, pokrywają zupełnie suknię. Przody spadają wolno, albo spinają się na klapki, przytwierdzone do boków; tylne bryty, poniżej stanu rzęsisto przyfałdowane. Rękawy zachodzą od pleców jak u wizytek, niekiedy podwinięte z przodu, tworzą jakoby pelerynkę. Te rękawy obłożone są brzegiem plisą z materyi *faille*, albo morową w odpowiednim kolorze; na plecy spada mały, płaski kapturek, podbity jedwabiem.

Czarne płaszczyki w podobnej formie, robią z *szewiotu*, z *pekinu* w drobne paski, z nowej tkaniny *peau de laine*, mieszanej z jedwabiem, i z innej w maleńkie punkciki. Przody u nich okładają morą albo gładką materyą, na podbicie służy fular lub lekki atłas.

W mantylach wielka rozmaitość: jedne z tkaniny wełnianej, drugie z sycylianki, mory lub gazy jedwabnej, przerabianej dżetem, w tem tylko zbliżone do siebie, że wszystkie mają plecy wcięte do figury; z przodu zaś długo spadają końce. Oto szczegółowy opis kilku najświeższych modeli.

Mantyla czarna wełniana, podbita atłasem, plecy wcięte, od nich rękawy zachodzą do łokcia, na przodzie końce spadają do połowy spódnicy. U szyi fryzka koronkowa czarna, przody złączone żabotem z koronki odwracanej *en coquille*, wkoło idzie lekki garnirunek, po niżej pleców rozniesiste karoczko. Oprócz tego, mantyla naszyta dokoła pasmanteryą z dżetem; wzdłuż rękawów dane trzy rzędy tej pasmanteryi, jeden rząd przechodzi przez plecy.

Druga mantyla także wełniana, z lekkiej tkaniny w deseń koronkowy, na podbiciu jedwabnem; w tyle dochodzi tylko do stanu, z przodu ma długie końce. Wkoło nagarnirowany podwójny wolant koronkowy, szeroki przeszło na ćwierć łokcia,

przytwierdzony pletnią z dżetem, z przodu żabot z węższej koronki.

Trzecia mantyla strojniejsza z Sycylianki jedwabnej; plecy do figury, poniżej rozcięte, zachodzą do boków tworząc szeroki rękaw, brzegiem nagarnirowana koronka, nad nią pasmanterya z dżetem. Z przodu długie końce objęte węższą koronką, przybrane u dołu rozetą z pasmanteryi, kołnierz stojący naszyty dżetem.

Piąta mantylka z gazy jedwabnej przerabianej dżetowemi paciorеczkami, bez rękawów, końce średniej długości. Wokoło nagarnirowana koronka, przytwierdzona grelotkami z dżetu.

Szósta mantyla z takiejże gazy, na atłasowem podbiciu. Wkoło dwa wolanty koronkowe, a nad niemi frendzla dżetowa. Rękawy tiulowe do łokcia, naszyte pięć razy takąż frendzlą.

Widzimy ztąd, że ozdoby dżetowe, nie wychodzą bynajmniej z mody.

Zwracały uwagę naszą zgrabne *Jerseye* z cienkiej trykoty jedwabnej, odpowiedniej na lato, w różnych ciemnych kolorach. Jeden z nich bardzo ładny, w kolorze szafirowo popielatawym, naszyty cały w deseń plecionką czarną i sutaszem, spięty na rzęd drobnych czarnych guzików.

Drugi Jersey oliwkowy, ma cały przód naszamerowany czarnym jedwabnym sznurkiem, na rękawach, u ramienia i ręki, zarówno jak na kołnierzu idzie podobny szamerunek, guziki czarne szmuklerskie, bardzo drobne.

Trzeci ciemno zielony, przybrany z przodu w drabinkę czarną pletnią, obwiedzioną sutaszem jasno zielonym, takiż kołnierzyk stojący i mankiety.

Czwarty w małą czarną i białą kratkę, wkoło objętą czarną aksamitką; w górze odwijają się klapeczki, kołnierz wyłożony aksamitny, takież mankiety i kieszonki po bokach.

Do tych staników trykotowych, przygotowane są gotowe spódniczki, pokryte draperyą spadającą z jednej strony do samego dołu, z drugiej podpiętą fantastycznie, na rozmaity sposób. Spódniczka ułożona w głębokie kontrafałdy, draperya zarówno rozniesista, odstaje sama przez się, to też dzisiejsze tiurniury znacznie mniejsze od zeszłorocznych.

Dajemy tu opis kilku ładnych spódniczek:

Fularowa w kolorze *loutre* (wydrowym) w paski i groszek koloru złotego *viel or*. U dołu naszyta pięć razy aksamitka bronzowa, szeroka na dwa cale. Przód otwarty, od boków do tyłu rozchodzi się długa i rzęsista draperya z takiegoż samego fularu, po bokach podpinana w sztuczne festony.

Inna spódniczka z lekkiej materyi *surah* w białą i czarną kratkę. Na wierzch idzie od prawej strony draperya z Bengaliny wełnianej w stalowym odcieniu, tworzy z przodu długi do ziemi fartuch, pokrywa całkiem lewy bok spódnicy, w tyle tworzy puff, a potem spada na prawy bok, objęta szeroko materyą w kratkę.

Trzecia spódniczka jedwabna w kolorze ciemno rozmarynowym, u dołu wolant na ćwierć łokcia szeroki, wystrzyżony w zęby. Z lewego boku nad tym wolantem idą cztery inne, sięgając aż do stanu. Na wierzch spada długa tunika z Bengaliny tegoż koloru, otwarta z lewej strony, podpinana do koła, objęta plisą z materyi zielonej.

Czwarta spódniczka czarna, z jedwabnego pekinu w atłasowe paski, mocno nafałdowana. Na niej takaż tunika, podpięta po bokach rozetami z pasmanteryi, przerabianej dżetem.

Przejdźmy teraz do przyległej sali, przeznaczonej na kapelusze. Tak w formie ich, jak w rozmiarach, wielką widzimy rozmaitość, kapotki wogólności małe, po bokach przystają do głowy, nad czołem tylko wznoszą się piramidalnie, przybrane puklami ze wstążek i kwiatami.

Oto kilka modeli, zaczynamy od najstrojniejszych:

Kapotka w kolorze *loutre*, denko z gazy jedwabnej, przymarszczanej, rondko z leciuchnej słomki klarownej, podbite pasmanteryą złotą. Z po za główki wybiegają w górę pukle ze wstążki, z przodu wpięty bukiet złotych kłosów jęczmiennych.

Druga kapotka ze słomki angielskiej, rondko małe, nad czołem podniesione, podpięte kokardą ze wstążki w oliwkowym kolorze. Nad rondkiem nagarnirowana koronka czarna, tworzy jakby gniazdko przybrane różą mchową. Szarfy do wiązania krótkie ze wstążki oliwkowej, z ząbkami po brzegach.

Trzecia kapotka: denko czarne koronkowe, rondko ze słomki ryżowej, podgarnirowane koronką. Z wierzchu bukiet aurykli w rozmaitych kolorach. Od tyłu idą w górę pukle ze wstążki, w odcieniu słomy, takież same szarfy do wiązania pod brodą.

Kapelusiki okrągłe, większe mają w ogólności rozmiary. Najstrojniejszy z nich ryżowy, z główką szeroką dość nizką, rondo ma podniesione z lewej strony, podbite morderowym aksamitem. Od tyłu główki wybiegają pukle ze wstążki tegoż koloru, z przodu pęczek strusich piór morderowych.

Drugi kapelusz ze słomki angielskiej. Rondo odwinięte po bokach, podbite słomką *loutre*. Na główce pukle ze wstążki i pęczek piór w wydrowym kolorze.

Trzeci kapelusz także z angielskiej słomy, rondko cokolwiek odwinięte, podszyte aksamitem oliwkowym, brzegiem naszyta torsadka stalowa. Z wierzchu pukle wysokie ze wstążki oliwkowej, przepięte stalowemi szpilkami i takąż pasmanteryą.

Zobaczmy teraz ogromny zbiór wyrobów na letnie suknie, z jedwabiu, wełny i t. d. Wśród jedwabnych widzimy naprzód morę, pekin w paski i materyą w drobne punkciki na tle tegoż koloru. Do mniejszego ubrania, najmodniejszy *surah* w drobne paski, albo maleńką kratkę białą, na tle czarnem, bronzowem, granatowem, miedzianem i ciemno zielonem.

Bardzo też przyjęta Bengalina gładka, złożona z wełny i jedwabiu, widzimy ją tak w jasnych jak i w ciemnych kolorach, co do jasnych barw, te mają zawsze odcień niepewny, jakby spłowiały; świadczy o tem sama ich nazwa: *vieux rose, vieux bleu, vieux gris* i t. p.

Na czarne suknie a raczej tuniki, bardzo używana gaza jedwabna, przerabiana dżetowemi perełkami. Fular w drobny rzucik na tle jasnem lub ciemnem powszechnie też będzie przyjęty.

W pośród wełnianych tkanin, najwięcej widać w drobne lub szersze paski, w rozmaitych przytłumionych kolorach, na tle zielonem, granatowem, brązowem i t. d. Tych używają najczęściej na same spódniczki, na to idzie draperya z gładkiej tkaniny, w odpowiednim kolorze.

Na letnie suknie i kostyumy, widzimy również wielki dobór batystów, satinetek, płócienek w rozmaitym rodzaju, jak np. *Satin Pompadour* w rzucane kwiaty, batyst w paski, groszek i różne fantastyczne desenie, serża angielska, fular bawełniany i inne lekkie tkaniny, których wyliczyć niepodobna.

S. D.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Przystępując do obchodu wielkiej uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego, mimowoli nasuwają się do myśli klęski podwójnej powodzi, jakie wśród mrozów i śnieżycy we wszystkich nadrzecznych okolicach spadły na ich mieszkańców. Biednym zawsze wiatr w oczy, jak powiada nasze poczciwe przysłowie, i w tych też katastrofach, szkody najwięcej dotknęły najbiedniejszych.

Dzieląc się święconem jajkiem, w imię braterstwa i miłości chrześciańskiej, wspomnijmy ich dolę nieszczęśliwą i obowiązek pociechy w smutku a ratunku w głodzie i łaknieniu.

Co działo się u nas podczas tak nieprzewidzianego stanu powietrza, opisywały i opisują jeszcze pisma codzienne ze szczegółową drobiazgowością.

Powtórzyć a nawet streścić ich niepodobna, taka się ich wielka ilość nagromadziła. Wprawdzie nie brakło starań przedstawienia mniej strasznego następstw klęski podwójnej powodzi, ale łatwo to marzyć w ciepłem mieszkaniu, w wygodzie zbytku wyglądającego z całego otoczenia.

Radzimy owym panom przejść się po warszawskiem nadwiślu, spojrzeć na te opuszczone dolne mieszkania, prawie w całości z piwnicami zalane wodą i zajrzeć tam gdzie biedactwo wypędzone powodzią, znalazło chwilowe przytulisko, aby cierpieć nędzę i ubolewać nad poniesioną stratą.

Jeszcze gorzej a nawet straszniej działo się w odległych stronach świata.

Gazety zagraniczne przynoszą obecnie szczegóły o strasznej zawiei śnieżnej, jaka w dniu 11 b. m. szalała w Nowym Yorku i okolicach.

Wszystkie interesa uległy zawieszeniu, a komunikacya wszelka tak kołowa jak kolejowa i telegraficzna, została zupełnie przerwana.

Z Waszyngtonem od północy nie było komunikacyi.

Podobnie gwałtownej burzy śniegowej nie pamiętają najstarsi ludzie w mieście.

Podczas najszaleńszej zawiei na kolei napowietrznej na Third-Avenue, miało miejsce spotkanie się pociągów; maszynista poniósł śmierć na miejscu, a znaczna liczba pasażerów uległa cięższemu i lżejszemu poranieniu.

Na głównej ulicy, Broadway, śnieg leżał na 6—10 stóp wysokości.

Trzy tysiące robotników i 1,000 koni pracowało przez całą noc, aby jako tako drogę uprzątnąć.

Pod śniegiem znajdowano w postawie stojącej, zwłoki osób, zaskoczonych na ulicy przez burzę.

W Nowym Yorku zameldowano 24 zmarłych osób, w New-Jersey naprzeciwko Nowego Yorku 24, w Fairhaven w stanie Connecticut 26.

Ogółem zginęło podczas śnieżycy osób 200 przeszło.

Do cmentarzy w Nowym Yorku nie ma dostępu, wskutek czego leży w mieście około 500 trupów, czekających na pochowanie.

Na cmentarzu Greenwood pod Nowym Yorkiem czeka 100 nieboszczyków, z którymi niepodobna dostać się do grobów.

Liczba wypadków na morzu wzrasta z każdą godziną.

W samej zatoce Chesapeake rozbiło się 200 okrętów.

Pomiędzy Bostonem a Nowym-Yorkiem przez dni pięć wszelka komunikacya nawet telegraficzna była zupełnie przerwana.

Donoszą nam o istnieniu i względnem wyrobieniu się chóru wiejskiego przy kościele w parafii Mniowie, o trzy mile od Kielc odległej.

W parafii tej staraniem miejscowego proboszcza i organisty utworzono chóry, złożone z dziewcząt wiejskich, które już dziś całe msze na głosy po łacinie odśpiewać są zdolne.

Przykład to godny naśladowania, świadczący o sumiennem a szlachetnem pojmowaniu obowiązków ze strony zarządu mniowskiej parafii.

W tych dniach do nowonarodzonego niemowlęcia pewnej zamożnej podolskiej rodziny, czasowo tylko w Warszawie zamieszkałej, sprowadzono mamkę aż z Francyi.

Jest to normandka, umyślnie dla państwa *** wypisana za pośrednictwem znajomego ich lekarza w Paryżu.

Oprócz kosztów przejazdu i przyrzeczonych drogich prezentów, mamka pobierać będzie 500 fr. miesięcznie, a umowa piśmienna zobowiązuje ją na cały rok.

Fakt niniejszy, jako curiosum, podajemy bez komentarzy, wyrażając tylko zdziwienie, dlaczego pokarm normandki ma być lepszy, czy też zdrowszy, od pokarmu podolskiej mołodycy lub mazowieckiej wieśniaczki?

Grono amatorów urządza widowisko Halki na scenie teatrzyku „Fantazya" w Petersburgu. Jak donosi Kraj, odbyły się dotychczas dwie próby generalne, które zgromadzały dość liczną publiczność. Część wokalna wypadła podobno w próbach dość dobrze, natomiast kostyumy pozostawiają wiele do życzenia; tak naprzykład górale ubrani byli w czapki i stroje amatorskie.

Polacy na Bukowinie. Ostatni spis ludności na Bukowinie z roku 1880 na ogólną liczbę 570 tysięcy mieszkańców wykazał 18 tysięcy Polaków, z czego 8 tysięcy przypada na same Czerniowce, liczące 45 tysięcy ludności; w częściach południowej prowincyi, Polacy stanowią li tylko w jednej Suczawie znaczniejszy procent.

Kolonię polską podzielić można na właścicieli ziemskich, przeważnie Polaków. Ormian, posiadających niespełna połowę wielkiej własności ziemskiej (o ile ta nie należy do funduszu religijnego grecko-oryentalnego, administrowanego przez rząd) inteligencyę miejską, przeważnie urzędniczą i stan rzemieślniczy, te dwie ostatnie klasy zogniskowane przeważnie w Czerniowcach i w północnych miasteczkach bukowińskich.

Stan i ogólna charakterystyka tutejszego obywatelstwa polsko-ormiańskiego, mało się różni od szlachty wschodnio-galicyjskiej.

Klasa średnia, osiadła przeważnie w Czerniowcach, stanowi wśród tamtejszej inteligencyi poważną większość, podczas gdy inteligentny żywioł rumuński ogranicza się na gronie duchowieństwa i profesorów.

Polacy licznie tam są reprezentowani we wszystkich państwowych zarządach, w szkołach i przy kolei Lwowsko-czerniowiecko-jasskiej.

Znaczny zastęp lekarzy, urzędników instytucyi finansowych, również wyłącznie polski, obok tego wiele firm handlowych i to pierwszorzędnych polskich.

Liczny stan rzemieślniczy polski posiada także wielu dzielnych przedstawicieli.

Słowem, nie czuje się Polak na Bukowinie obcym i spotka się na każdym kroku z rodzinnym żywiołem.

Urzędniczki we Francyi. W roku 1877 francuzkie ministeryum poczt przyjęło na próbę do swego biura kilkanaście kobiet. Gdy praca ich okazała się pożyteczną, przyjmowano coraz więcej, a obecnie na pocztach i telegrafach we Francyi pracuje przeszło 5,000 kobiet. Najwyższa ich płaca roczna wynosi 4,000 fr., najniższa 800 fr. Niemało też kobiet zatrudnionych jest w ministeryum skarbu, w Banku Francuzkim i instytucyach kredytowych. Przekonano się, że tam, gdzie potrzeba bystrego oka, pośpiechu, cierpliwości i wielkiej drobiazgowości, kobiety mają przewagę nad mężczyznami; mniej się kwalifikują do pracy kierowniczej, wymagającej samodzielnego sądu lub pewnej inicyatywy. Ztąd używane są przeważnie do kopiowania, prowadzenia ksiąg rachunkowych, przesiadywania za kantorem i t. p. Najwięcej stosunkowo kobiet we Francyi oddaje się powołaniu nauczycielskiemu. Prócz około 34,000 zakonnic, drugie tyle kobiet świeckich zajmuje się nauczaniem po wyższych i niższych pensyonach żeńskich. Dodawszy do tego nauczycielki domowe i udzielające lekcyi prywatnych na godziny, widzimy we Francyi przeszło 100,000 kobiet żyjących z nauczania.

Użytek z papieru. Do wielu wyrobów przemysłu, do których dawniej używano drzewa, żelaza i stali, obecnie stosować zaczynają masę papierową, zwłaszcza pochodzącą z mocnych włókien, z jakich np. składają się lniane szmaty. Utworzona przed kilku miesiącami fabryka w Szwecyi, wyrabia ze znanego mchu szwedzkiego papier różnego gatunku, oraz tekturę aż do trzy czwarte cala grubą. Tektura ta jest twarda jak drzewo, a przytem niezmiernie lekka, daje się polerować i malować, używa się na ramy do drzwi i okien, do ozdób architektonicznych i mebli wszelkiego rodzaju. W Ameryce z masy papierowej stawiają już całe domy; we Francyi budują z niej fortepiany, to jest ramy do wewnętrznego mechanizmu; przyjdzie może czas, że z masy papierowej ogniotrwałej stawiać będą piece i kuchnie, wyrabiać rondle, garnki i t. p.

Kościół św. Andrzeja na Kwirynale, z polecenia króla włoskiego, zamieniony został na świątynię polską. Księża miejscowi mieć będą straż nad grobem św. Stanisława Kostki.

Świeżo nadeszłe z Berlina dzienniki opisują fakty, jakie chyba w mieście europejskiem, a tembardziej podczas tak poważnej uroczystości jaką jest pogrzeb cesarza, miejsca mieć nie powinny.

Otóż o tem dzienniki donoszą co następuje:

Ulice położone w pobliżu katedry w której zwłoki cesarza Wilhelma były wystawione, zamykał kordon, złożony z policyantów i żołnierzy. Do katedry wpuszczano tylko pewną oznaczoną liczbę osób, przyczem miano zważać na to, aby nie było tłoku. Tymczasem cóż się działo? Wojsko i policya, tłumy publiczności rozpędzały uderzaniem kolbami (sic) i przedzieraniem się przez nie przemocą. Dzienniki berlińskie donoszą, iż setki osób wynoszono z ulicy pod Lipami i z innych ulic poblizkich z połamanemi nogami, rękami, żebrami a nawet bez życia. Wszystko to zdziałali ci, którzy mieli utrzymywać porządek. Gdyby tłumy publiczności zachowywały się nietaktownie, ale gdzietam! dzienniki berlińskie zapewniają, że publiczność zachowywała się bardzo spokojnie. Co więcej, wojsko mające pilnować porządku około katedry, nie wpuściło do niej członków parlamentu, którzy na specyalne zaproszenie cesarzowej, udawali się in corpore. Właśnie w chwili, kiedy członkowie parlamentu wchodzili na plac przed katedrę, oficer dowodzący wojskiem pozwolił sobie przypuścić szturm do tłoczącej się publiczności, przyczem kilku posłów poczuło dotkliwie na ciele swojem ciężar kolby pruskiej lub pałasza, którym naokoło płazowano. Coś podobnego spotkało następnego dnia członków magistratu i delegacyi miasta Berlina, którzy udawali się in corpore do katedry. Nie dostali się do niej, gdyż zatrzaśnięto drzwi katedry przed nimi. Czekali więc kilka godzin, aż w końcu jakiś oficer powiedział im, że „minął już czas oglądania zwłok, mogą zatem pójść do domu." Wogóle dzienniki berlińskie żalą się na to, iż łatwiej było dostać się do katedry choćby najmłodszemu oficerowi, aniżeli najpoważniejszemu obywatelowi w stroju cywilnym, chociażby to był najwyższy urzędnik członek parlamentu lub sejmu.

Wskutek zajść tych, prasa dopomina się wytoczenia śledztwa, a prezydent izby deputowanych, Köller, udał się nawet wprost do ks. Bismarka, zanosząc skargi na policyę. Kanclerz przyrzekł wytoczyć śledztwo.

W końcu zaznaczamy, iż zajścia powyższe tak dzienniki jak i ludność cywilną berlińską, bardzo przeciwko wojsku rozgoryczyły.

— Znów więc zabrałeś się do kradzieży — mówi sędzia przy śledztwie do złodzieja złapanego na gorącym uczynku.

— Tak, panie sędzio — odpowiada złodziej — ale zrobiłem wielkie głupstwo. Świat teraźniejszy tak się popsuł, że zdemoralizowany nie wart niucha tabaki.

— Jakto?

— A tak, bo w lecie wszyscy porządni panowie wyjeżdżają z Warszawy a w zimie trzymają ręce w kieszeni, to i z czegóż żyć mamy.

* * *

Pomiędzy ukoronowanemi kobietami, królowa włoska cieszyła się jakoby specyalną sympatyą cesarza Wilhelma, który czesto oddawał najżywsze pochwały nietylko jej urodzie, ale też i jej cnotom. Podczas ostatniego pobytu następcy tronu w Kwirynale, cesarz Wilhelm przesłał do króla Humberta następującą dosłowną depeszę: „Mon fils baisera la main de la reine d'Italie et moi j'en serai jaloux". (Mój syn ucałuje rękę królowej Włoch, a ja będę zazdrosny). Gdy potem następca tronu zobaczył królowę Małgorzatę, pośpieszył ku niej i pocałował ją w rękę mówiąc:

— To dla mojego ojca. — Poczem pocałował ją w czoło i rzekł: — A to dla mnie.

* * *

— Kobiety nigdy nie idą do nieba.

— Dlaczego?

— Bo w objawieniu św. Jana stoi napisano: „I nastała cisza w niebiesiech i trwała pół godziny". Co byłoby niemożliwem, gdyby tam były kobiety... — odrzekł jeden ze starych kawalerów, pragnący uchodzić za dowcipnego.

* * *

— Patrz X. znów dziś ma w głowie, aż się zatacza.

— Daj pokój, jedyna to chwila w której biedaczysko ma przecie coś w głowie.

RÓŻNE MYŚLI.

Pochlebstwo jest fałszywą monetą, której kurs nadaje nasza próżność.

La Rochefoucold.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Suknia z tuniką fartuszkową. Spódnica i krótki stanik z ciemnego gładkiego materyału, tunika i przybranie z materyału w pasy do cieniu. Na staniku rozety szmuklerskie. Kapotka słomkowa, przybrana aksamitem i kwiatami. Parasolik z kwaterek dwojakiej szerokości, przybrany wstążką.

Suknia z długą draperyą. Spódnica i stanik z materyału wełnianego w drobne paski, draperya z gładkiej wełny zakończona szlakami, od góry podszyta materyałem w paski widocznym w opuszczeniu fałd górnych. Stanik z ranwersami i marszczoną kamizelką z materyi surah. Kapelusz z rondami wysoko podniesionemi z boków przybrany wstążką. Parasolik z rączką metalową i kokardą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani G. Adelsberg w Dzurynie. Początek powieści przesłano w oddzielnej paczce, za co należy się nam rubel jeden. Dwa oleodruki z przesyłką pocztową i opakowaniem dość kosztownem kosztują kopiejek 75.

Pani Maryi Pomorskiej. Dodatki illustrowane są sprowadzane z zagranicy, układ więc ich nie zależy od Redakcyi. Porozumimy się jednak z wydawcą zagranicznym co do objawionego życzenia, ale zdaje się, że z wzorów innych haftów łatwo deseń na kołdry ułożyć, a szczególniej z wzorów do wyszywania sutaszem przeznaczonych.

P. Zofii Mongordowej w Połondze. W każdej fabryce fortepianów, znajdują się stroiciele, od nich więc można się nauczyć tej pracy. Ale przez zastępstwo wynalezienie odpowiedniego nauczyciela nie da się uskutecznić. Żydzi nie zostali do cechów przyjęci.

Panu K. M. Wierszyk p. t. Pożegnanie z uczuciem serdecznem napisany, ale forma cokolwiek wadna, która całości szkodę przynosi.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Марта 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



Pl. 725.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.